

miejsce w kanonie, ale i na poczytność – także wśród czytelników dzisiejszych. Choćby i ze względu na ów niepowstrzymany pociąg do opowiadania historii o zbrodniach i zbrodniarzach. Warto też czytać dziś Nałkowską ze względu na jej głęboką znajomość zagadnienia przemocy, zarówno tej najbardziej oczywistej, fizycznej, przejawiającej się w zabójstwach i maltretowaniu ludzi i zwierząt, jak i psychicznej, operującej znacznie bogatszą gamą środków. Ludzie w jej utworach doświadczają poniżenia, padają ofiarą nękania, szantażu uczuciowego, są wykorzystywani ekonomicznie, a najwięcej takich patologii ma miejsce w rodzinie i między partnerami w związku erotycznym. Przedmiotem analizy jest w tej prozie zarówno psychika prześladowcy, jak i ofiary, przy czym role te rzadko bywają jednoznaczne – Nałkowska często pokazuje, że w sprawie przemocy tkwi jakiś głęboko zakorzeniony czynnik wiktymistyczny, ofiara natomiast może – nawet bezwiednie – wykorzystywać swoje cierpienie do wywierania emocjonalnej presji na otoczenie. Już w samych metaforycznych tytułach jej utworów – „Ściany świata”, „Niedobra miłość”, „Granica”, „Węzły życia” – wychwycić można akcent, jaki pada na problem ograniczenia wolności osobistej jednostki w zetknięciu ze społecznym uniwersum, z innym człowiekiem, na relacje władzy i dominacji. Socjologia i psychologia współczesna wiele uwagi poświęcają dziś takim właśnie psychopatologiom życia zbiorowego. Nałkowska studiowała je za pomocą narzędzi dostępnych literaturze, a nie nauce, ale ze skutkiem co najmniej równie dobrym. Dlatego jej pisarstwo pozostaje wciąż aktualne. ●

Mój przyjaciel Joe Alex

Piotr Pławuszcwski

Maciej Stomczyński

[s. 16]

Oktładki z książek Joe Aleksa,

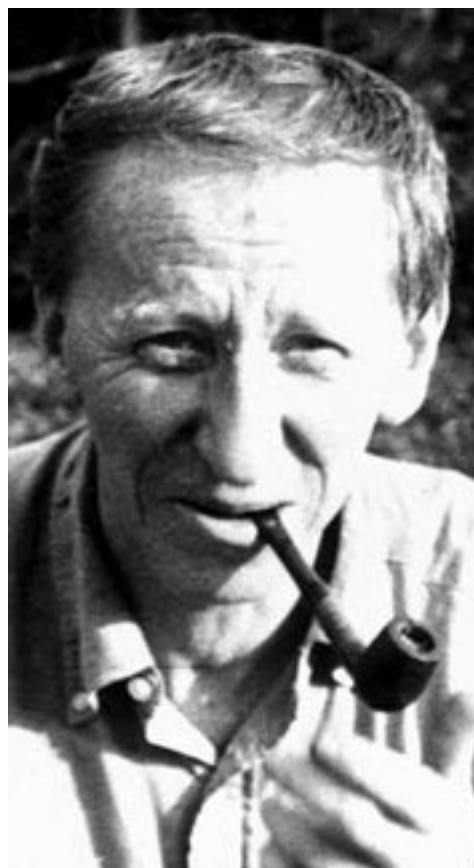
ilustr.: Bronisław Kurdziel,

„Jesteś tylko diabłem”, Kraków 1973

[s. 19–20]

„Zmacony spokój Pani Labiryntu”, Kraków 1980

[s. 23]



Maciej Słomczyński postanawia powołać do życia Joe Aleksa, autora powieści kryminalnych, których zakładana popularność pozwoli skutecznie odegnąć widmo tarapatów finansowych tłumacza.

Gdy w książeczce dołączonej do płyty Stanisława Soyki „Sonety, Shakespeare” natknąłem się na taką oto opinię Jana Skaradzińskiego o Macieju Słomczyńskim: W jego tłumaczeniach Szekspir staje się przejrzysty niemal niczym Joe Alex, to pytanie o charakter oddanej tym zdaniem przysługi zrodziło się w mojej głowie równie naturalnie, co ciekawość odpowiedzi. Skołataną wyobraźnię uspokoić mogło tylko czytelnicze śledztwo – trochę na niby, bo jednak bez trupa, ale z zaostrzonym ołówkiem, który narzędziem zbrodni jest już doskonałym.

Tak, to niestety możliwe...

W momencie gdy odwieczne dociekania z terenu socjologii lektury powieści kryminalnej (kto czyta? kto ostentacyjnie nie czyta? kto czyta, lecz ostentacyjnie manifestuje, że nie czyta?) wydają się zwyczajnie blaknąć w świetle faktu, iż obcowanie z kryminałami niekoniecznie stanowi morderstwo popełnione na intelekcie, przypominam: tak, Maciej Słomczyński pisał powieści kryminalne. Tłumaczył na język polski Szekspira, Joyce’a, Faulknera, Carrolla, Milтона, Blake’a i wielu innych – oraz pisał kryminały. Podobnych temu grzechów miał zresztą na swym artystycznym koncie więcej, o czym pamięć zdążyła się do dziś zatrzeć (niech za przykłady posłu-

żą choćby powstałe podczas wczesnego, łódzkiego etapu biografii powieści sensacyjno-szpiegowskie¹ czy już późniejsze, nierzadko sygnowane imieniem i nazwiskiem Joe Alex, teksty dla Teatru Sensacji „Kobra” oraz kryminały wydawane pod pseudonimem Kazimierz Kwaśniewski). Pozostawiając jednak szperanie w życiorysie na inną okazję, a czytelniczą lupę oczyszczając ze zniekształcających obraz uprzedzeń, pochylić chciałbym się nad ośmioma kryminałami autorstwa niejakiego Joe Aleksa². Czy nadal warto, po latach, absorbować sobie nimi pamięć? Gdzie szukać źródeł ich ogromnej swego czasu popularności, która w przedziwny sposób rezonuje właściwie po dziś dzień (i również w XXI wieku nie pozwala o sobie zapomnieć wydawcom)? Kuszące zagadki.

Detektyw od/do zarabiania

Pozornie historia ta odarta jest z wszelkiej subtelności: pochłonięty translatorskimi projektami Maciej Słomczyński postanawia powołać do życia Joe Aleksa, autora powieści kryminalnych, których zakładana popularność pozwoli skutecznie odegnąć widmo tarapatów finansowych tłumacza. Układ się zamyka,

¹ Mam tu na myśli cztery tytuły: *Fabryka śmierci* (1947), *Łądujemy 6 czerwca* (1947), *Zadanie porucznika Kenta* (1947) oraz *Szary cień* (1948). W swych rozważaniach przygląda się im Tomasz Bielak, autor bardzo ciekawej monografii prozatorskiej twórczości Słomczyńskiego: *Proza Macieja Słomczyńskiego* (Joe Aleksa), Katowice 2008.

² Te kryminały (w nawiasach podaję rok wydania książkowego oraz skrót tytułu, którym będę posługiwać się w dalszej części tekstu, uzupełniając go, w przypadku cytatów, numerem strony) to: *Powiem wam jak zginął* (PWJZ, 1959), *Śmierć mówi w moim imieniu* (ŚMWWMI, 1960), *Jesteś tylko diabłem* (JTD, 1960), *Cichym ścigałam go lotem...* (CŚGL, 1962), *Zmącony spokój Pani Labiryntu* (ZSPL, 1965), *Gdzie przykazań brak dziesięciu* (GPBDz, 1968), *Piekło jest we mnie* (PJWM, 1975), *Cicha jako ostatnie tchnienie* (CJOT, 1991).

jego kontury zdają się swobodnie mieścić w przestrzeni działań artystycznych (nie jest przecież Joe Alex właścicielem sklepu jubilerskiego), jedyne więc, co każe przystanąć i wybija z usypiającej logiczności, to fakt owego rozdwojenia: doktor Jekyll i pan Hyde? Ulises i Holmes? Hamlet i Poirot? Mnożę te pary tylko po to, rzecz jasna, by po raz kolejny upewnić siebie (i innych?), jak jałowym jest to w istocie zajęciem. Nie sama bowiem decyzja o pisaniu kryminałów stanowi ostatecznie moment wart rozległych dyskusji (jak bez ogródek przyznał w rozmowie z Krystyną Nastulaną autor „Krajobrazu ze skorpionem”: Joe Alex został wymyślony jako dobry wujaszek tłumacza „Ulisesa”, bez niego nieszczęśny Słomczyński dotąd nie rozwiązałby trudności [finansowych – PP]³, granica przesuwa się w tym wypadku nieco dalej, aż do głosu dochodzą targające układem nerwowym literatury odbiorcze emocje. Ich niedostatek czyni z powieści kryminalnej co najwyżej papierową szaradę, po której labiryntach może się przechadzać obowiązkowo detektyw, ale brak mu najbardziej naturalnego towarzysza, jakim jest trzymający w dłoni książkę czytelnik. Dziś, gdy spojrzeć wstecz i wzrokiem objąć cały kryminalny dorobek książkowy Joe Aleksa, wrażeniem bez wątplenia fundamentalnym, narzucającym się z mocą każdego z milionów wydrukowanych na przestrzeni kilkudziesięciu lat egzemplarzy, pozostaje właśnie obecność ich adresata. Niezawodny stempel prawdomówności, przybity na ostatnim stwierdzeniu, stanowią głosy recenzenckie, które – choć w oczywisty sposób zróżnicowane i osadzone w historii – pozwalają jednak wypreparować ze swych sformułowań pewien wniosek generalny: na powieści Joe Aleksa się czekało. Ujawnia się zresztą swoista poetyka tego rodzaju wypowiedzi krytycznych, gdy po zwyczajowej serii zastrzeżeń i wątpliwości przychodzi czas na sakramentalne pytanie: jakie mają one znacze-

nie dla czytelnika? Pytanie, które pozostawało najczęściej bez odpowiedzi na piśmie.

Wrócić wypada do słowa „pozornie”, którym fragment o bezlitosnym styku kryminału, pieniądza i publiczności literackiej rozpocząłem, biorąc więc niejako całe to rozmyślanie w cudzysłów. Gdzie jednak miejsce na pozór i wspomnianą subtelność, skoro sytuacja wydaje się aż nadto jednoznaczna? Motywy, jak by chciał tego detektyw wyjęty z klasycznego kryminału, leżą na połyskującej tacy, skutecznie zniechęcając do zbędnych wahań. Tylko na marginesie – czy wspominałem o wyznaniu Macieja Słomczyńskiego, jakoby pseudonim Joe Alex miał swe źródło w podpisie fotografii przedstawiającej szympansa?

Bardziej angielski niż Anglia

Wahanie okazuje się zbawienne. Daje szansę samej lekturze, przynajmniej na czas jej trwania usuwając z pola widzenia mało finezyjne wątki finansowo-deprecjacyjne. Co w zamian? Pozostaje konfrontacja z żywą tkanką powieści kryminalnej, która mając za sobą bogatą gatunkową tradycję, a wokół siebie z kolei trudno przepuszczającą światło siatkę reguł rządzących detektywistyczną rozgrywką, nie jest w stanie niczego właściwie ukryć. Podleganie natychmiastowej niemal ocenie, wystawianej zaraz po ostatniej kropce, staje się jej nieuniknionym losem. Powieści Joe Aleksa nie stanowią wyjątku od reguły. Dowiedzieć się jednak bez zbędnych opóźnień o swej dużej wartości nie jest chyba najgorzej, prawda?

³ Nastulanka K., *Sami o sobie*, Warszawa 1975, s. 220 (to właśnie w rozmowie z Krystyną Nastulaną używa Maciej Słomczyński formuły, którą posłużyłem się w tytule mojego artykułu).

JOE ALEX JESTEŚ TYLKO DIABŁEM





Wydaje się, że pomysł Macieja Słomczyńskiego na powieść kryminalną jest zachowawczy i kroczy śladem sprawdzonych już po wielokroć rozwiązań. Swą historię ma choćby utożsamienie detektywa z autorem powieści (Joe Alex to bowiem jednocześnie pisarz i bohater swych kryminałów)⁴. Nie wykraczają również poza sprawdzony repertuar motywy popełnianych na kartach kolejnych tomów zbrodni (przy czym prym wiodą niezawodne pieniądze oraz równie niezawodna miłość). W otoczeniu detektywa nie brakuje (spodziewanych, a jakże!) postaci oficjalnego przedstawiciela prawa oraz atrakcyjnej, inteligentnej wybranki serca. Tego pierwszego reprezentuje pojawiający się niemal w każdej odsłonie przygód Joe Aleksa (całkowicie przemilczany tylko w lotniczej historii PJWM) komisarz Scotland Yardu, lecz przede wszystkim sprawdzony przyjaciel, Ben Parker, rola kobieca natomiast należy do młodej archeolożki, Karoliny Beacon, urodziwej pasjonatki tajemnic cywilizacji kretańskiej. Trudno też rozpatrywać w kategorii zaskoczenia model, w którym powieściowy świat ulega uporządkowaniu i scaleniu w końcowym monologu detektywa. Wszystko to podejrzenie ograne i uładzone, a jednak... To jednak tkwi, rzecz jasna, w szczegółach, o czym zainteresowany demonologią Joe Alex wiedzieć musiał przecież najlepiej.

Przykuwają uwagę już tytuły, bliskie konwencji kryminalno-gatunkowej tytulatury („Powiem wam jak zginął”; „Śmierć mówi w moim imieniu”), częściej jednak porzucające ją na rzecz obrazowania niemal poetyckiego, gdy ewokowany słowem obraz niebywale zręcznie wymyka się jednoznaczności (tom „Cichym ściagałam go lotem...” od zawsze był w tym kontekście moim prywatnym faworytem). Stąd zaś już niewielki dystans do kolejnego, chyba nawet bardziej intrygującego komponentu omawianych powieści, bo o ile Raymond Chandler ty-

pował Dorothy Sayers na autorkę najrzęczniejszą przytaczającą cytaty z łaciny i greki, o tyle palmę pierwszeństwa w kontekście wykorzystywanych mott przyznać musiałby bez wahania Joe Aleksowi (w owych mottach tkwi zresztą najczęściej źródło tytułu). W jego literackim kosmosie śledztwo zaczyna się dzięki temu już między kartą tytułową a pierwszym akapitem początkowego rozdziału. Dalsze losy cytatu (bo jego żywot, to ważne, nie kończy się nigdy na pojedynczym, wstępnym przywołaniu) bywają rozmaite: staje się przedmiotem aktorskiego monologu przyszłej ofiary (PWJZ – motto fragmentem z „Orestei” Ajschylosa), uobecnia się w rozmowie bohaterów (PJWM – cytata z „Raju utraconego” Milтона) lub też przybiera postać powracającego fabularnie detalu: enigmatycznego, lecz wpływającego na tok myślenia detektywa (GPBDz – mottiem wiersz Rudyarda Kiplinga). Robię kolejny krok do przodu – wchodzę w świat powieści, gdzie poza jednym przypadkiem (CJOT) konsekwentnie od inicjujących zdań natykam się na pisarza-detektywa Joe Aleksa. Często siedzi strapiiony nad maszyną do pisania marki Olivetti, przeklinając swój los literackiego wyrobnika, którego marzenie o wielkiej, poważnej twórczości artystycznej nieubłaganie przesuwają się w sferę pobożnych życzeń. Wpadł w samodzielnie zresztą zastawioną pułkę: chcąc żyć dostatnio i niezależnie od przymusu porannego wstawania do pracy, zajął się dochodowym, acz na dłuższą metę uwierającym sumieniem wymyślaniami kryminalnych zagadek (paralelnosc losów Macieja Słomczyńskiego i jego detektywistycznego wcielenia jest w oczywisty sposób badawczo

⁴ Przykładem może być choćby Ellery Queen, amerykański twórca (i zarazem bohater) niezwykle popularnych w latach 40. XX wieku *detective stories*, będący artystyczną kreacją kuzynów Frederica Dannaya i Manfreda Benningtona Lee.

nęcała, ale zostawiam ów projekt na inną okazję, teraz tylko zdradzając, że materiału dowodowego w tej materii nie brakuje). Z wypowiedzi podejmujących wspomniany wątek dałoby się złożyć całkiem interesującą antologię „Joe Aleksa pisarskich bolączek natury moralnej”, ja jednak chciałbym się ograniczyć do dwóch jedynie cytatów, z których drugi pozwoli mi przesunąć się w dociekaniach ponownie krok naprzód. Najpierw jednak, nie bez zgrabnej dawki ironii, o twórczych perspektywach z ogranicza wishful thinking: Może kiedyś napiszę książkę? – szepnął podejrzenie rozmarzonym głosem. – Książkę na miarę epoki, wielkie, wspaniałe dzieło, które będę co wieczór wyciągał spod poduszki i odczytywał ze skupieniem, żeby potem z czcią ucałować własną rękę (CŚGL, 12-13). Dużo więcej mówi wszelako o londyńskim detektywie, jak i o charakterze jego powieści, cytat następujący: [...] wbrew pozorom, Joe Alex był człowiekiem cichym, zakochanym w dobrej poezji i dobrej muzyce, studiował dzieje kultur i mitów [...], architekturę, historię, obyczaje i wszystko to, co stanowi widoczny ślad człowieka na przestrzeni dziejów [JTD, 19]. Nierzadko pojawiający się w wywiadach z Maciejem Słomczyńskim wątek wymiaru edukacyjnego jego kryminałów (pisanych jako Joe Alex) zdaje się brzmieć co najmniej niepokojąco, gdy jednak przychodzi skonfrontować go z lekturą praktyką – obawy znikają. Dlaczego? Jerzy Siewierski, recenzując przed laty tom GPBdz, posłużył się w odniesieniu do tej powieści formułą: nie-nagannie angielska, rozwijając swój celny skrót myślowy w paradoksalne w istocie zdanie: [powieść] jest angielska w sposób tak intensywny, jak rzadko która z książek napisanych przez autentycznych Brytyjczyków⁵. Gdyby spojrzeć na wspomniany aspekt szerzej (nie tylko zatem w kontekście tytułu recenzowanego przez Siewierskiego), można by się pokusić o taką oto refleksję: są kryminały Joe

Aleksa misternie i udanie skonstruowaną ucieczką przed grożącą temu gatunkowi jednowymiarowością. Pokusa poprzestania na (uproszczonej dla tego wywodu) triadzie: zbrodnia–śledztwo–odkrycie, bez rozmaicie rozumianego zniuansowania któregośkolwiek z tych etapów, skutkuje kreacją świata nachalnie zdeterminowanego, przyjmującego postać wielkiego rebusu, gdzie ex definitione wykluczone są z istnienia wszelkie marginesy. To jednak nie przypadek powieści Joe Aleksa – bardziej w strukturze do całkiem pojemnego naczynia niż do rebusu podobne, wypełnione zostały mieszanką **intrygi, erudycji i tła**. Ta pierwsza, choć ujawnia się w różnej skali skomplikowania (od krańcowego zapętlenia w PWJZ po stosunkowo niskie jego stężenie w DJWM), nigdy w swych przejawach nie narusza granicy, po przekroczeniu której można by zasadnie mówić o gatunkowej dyskwalifikacji tekstu (brak więc choćby ingerencji złośliwych duchów). Walor erudycyjny może niekiedy wywołać delikatny uśmiech (trudno zapomnieć kelnera z tomu CŚGL, cytującego przy gościach Teofrastusa...), ale i on nadaje barw powieściowemu uniwersum, nie narażając przy tym czytelnika na edukacyjne szalbierstwo (by ograniczyć się do dwóch dowodów – wspomniany w JTD Norman Shaw rzeczywiście zaprojektował budynek Scotland Yardu, a Thomas Chippendale, przywołany przez Aleksa w CŚGL podczas podziwiania zabytkowego kredensu, w XVIII wieku faktycznie zyskał sławę jako projektant mebli). Tylko dla formalności dodam, że zaskakująco często nasz detektyw zdradza się ze swą znajomością dzieł Szekspira, a podróżując samochodem i podziwiając widoki za oknem, mówi: Nasza ogromna, słodka matka..., co wywołuje natychmiastową reakcję współpasażerki: To Joyce – uśmiechnęła się. – Jedyne pisarz, którego mogę bez przerwy czytać (PWJZ, 39). Jak widać, świat (również literacki) jest bardzo mały...

Pozostaje wspomniane tło – odpowiedzialne choćby za cytowaną „intensywną angielskość” w GPBDz, najczęściej pełne u Aleksa wyspiarskich manier arystokracji, kolonialnych tradycji, stylowych posiadłości z okazałym domostwem i bujnym ogrodem, wszystko to zaś spowite atmosferą nieco przesadnej, ale też przecież urokliwej powagi. W tym mieszkaniu wszystko jest akuratne. Zapastne klubowe fotele, miękkie dywany, kominek, kolekcja unikalnej broni nad biurkiem, na biurku zaś butelka z „białym koniem” i syfon wody sodowej⁶ – nie, to nie fragment żadnego z kryminałów, ale początek relacji z rozmowy, jaką Ryszard Kosiński odbył z... Joe Alekssem w jego mieszkaniu. Mniejsza o reporterski uścisk z konwencją – już jednozdaniowa rekonstruk-

cja tła dowodzi, że nie miało ono w powieściach charakteru płaskiej dekoracji, lecz niosło ze sobą całkiem konkretny przekaz, który opatrzyć można mianem: ekskluzywność.

Ekskluzywność. Znakomity leksykalnie punkt dojścia dla tych notatek. W rzeczy samej: w księgarskim sąsiedztwie historii o poczciwym sierżancie MO i nurtującej go kradzieży na budowie każda z ośmiu powieści Joe Aleksa musiała się wydawać wydawniczym fajerwerkem. Doskonale skonstruowane, precyzyjne, piekielnie logiczne zgadywanki kryminalne Aleksa wytrzymują całkowicie porównanie z najlepszymi cudzoziemskimi konkurentami⁷ – pisał Jerzy Siewierski, z pewnością nie mijając się z prawdą. Powiew dobrze rozumianej egzotyki, dalekiej od taniego fabularnego efekciarstwa czy uproszczonej psychologii, okazał się wytrychem do katalogu czytelnich oczekiwań i gustów. Z tej perspektywy, wszelkie głosy, które próbowałyby dyskusję o kryminałach Joe Aleksa sprowadzić do bezdusznego wymiaru merkantylnego, musiałyby solidarnie zamilknąć: po to przede wszystkim, by uniknąć ośmieszenia.

Ja na przykład nie napisałbym w życiu ani jednej strony kryminalnej powieści, gdybym miał inne źródło dochodu (JTD, 13) – wyznaje Alex. W imieniu czytelników wypada mi zatem siłom odpowiedzialnym za brak owego źródła serdecznie podziękować. Dziękuję. ●



⁵ Siewierski J., Przygody Joe Aleksa, „Nowe Książki” 5/1969, s. 319 (recenzja powieści GPBDz).

⁶ Kosiński R., Głowy podwawelskie, Kraków 1965, s. 13.

⁷ Siewierski J., Powieść kryminalna, Warszawa 1979, s. 145.